



©bingk

Świat niewiele by stracił, gdyby istniały
tylko dwa kolory... biel i czern.

efekt śnieżnej *kuli*

W nocy spadł śnieg.

I jak zawsze w Nowym Jorku, była to fantastyczna wiadomość.

Jęzor zimna, który już wcześniej przywłókł się z Kanady, mimo że sypnął śniegiem, miał powoli odpuszczać i nowojorczyści już od rana mieli powód, by zadzwonić do przyjaciół i wspólnie pozastanawiać się, czy to już ostatni tego roku atak zimy na Manhattanie.

Była niedziela, 13 lutego 1983 roku.

Ludzie wyciągnęli biegówki i gdy szedłem w stronę stacji metra, zaraz zobaczyłem, jak kilku entuzjastów szusuje po zaśnieżonej 3 Alei.

Autobusy nie jeździły, samochody stały przysypane białym puchem, ruch zamarł, miasto znieruchomiało i ucichło...

Nagle poczułem się tak, jakbym wszedł do bajki o Królowej Śniegu i musiałem rozejrzeć się wkoło, by uświadomić sobie, że to jest ciągle Nowy Jork drugiej połowy XX wieku, a ja po prostu, mimo niedzieli, idę do pracowni skończyć pilny projekt. To tylko śnieg...

Na skwerze Cooper Union stał brodaty Afroamerykanin w burym płaszczu, beżowym kapeluszu i znoszonych butach. Na chodniku przed nim leżał afrykański dywanik w kolorowe paski, a na nim ułożone stopniowo, różnej wielkości białe kule. Ludzie przechodzili – tu już było tłoczniej – przystawali, o coś pytali, odchodzili, wzruszając ramionami, ktoś się roześmiał. Już dochodziłem do niego, gdy wpatrzony w to, co leżało na macie, zrozumiałem, że są to po prostu całkiem zgrabnie ulepione śnieżne piguły.

Nowy Jork jest pełen szaleńców, ale tego to naprawdę jeszcze nie było!

– Co pan sprzedaje? – wołałem jednak dopytać.

– Kule śniegowe – odpowiedział, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

A jednak szalenieć.

– A po ile?

Wskazał palcem na kolorowy dywanik. Zapatrzyłem się. Duże kule leżały w trzech poziomych rzędach, mniejsze układały się w sześć pionowych sopli. Była w tym jakaś artystyczna myśl, co nagle wydało mi się podejrzane. Całość wyglądała jak śnieżna instalacja. Gdyby mróz zelżał już topiłaby się na tym afrykańskim kilimie, pomyślałem.

– Te po dolarze, te większe po dwa. Bierze pan?

Ocknąłem się z zamyślenia.

– Jednak podziękuję.

Spojrzał na mnie rozbawiony, co znów wydało mi się dziwne. W końcu nie zarobił tego dolara, czy dwóch.

Poszedłem wolno w stronę pracowni, śnieg skrzypiał pod stopami. Przeszedłem kilkadziesiąt metrów, gdy nagle zachciało mi się złapać go w dłoń, ulepić wielką śnieżkę i rzucić ją przed siebie zupełnie tak, jak to robiłem w dzieciństwie. A może, pomyślałem, wróć do tego geniusza marketingu i kupię białą pigułę. Tę za dolara...

Nie wróciłem jednak.

Za to sama historia śniegowego sprzedawcy wróciła do mnie po latach jak efekt śnieżnej kuli, która tocząc się, zbierała po drodze informacje i sygnały, by pewnego dnia ułożyły mi się w całość. Zrozumienie jednak tej całości wymagało co najmniej podwójnej świadomości.

Oto, proszę, przeczytałem w Internecie, że pewnego zimowego dnia w 1983 roku artysta i performer David Hammons sprzedawał różnej wielkości śniegowe kule. Ułożył je w stopniowanych rzędach i spędził dzień, zachowując się jak uprzejmy sprzedawca. Niezapowiedzianą akcję uliczną nazwał „Bliz-aard Ball Sale” i wpisał ją w zbiór prac, które od końca lat 60. XX wieku aż do dziś podważają podział na „biały” i „czarny” świat sztuki. Całość z ukrycia fotografował Dawoud Bey i kiedy potem zobaczyłem zdjęcia z tamtego dnia – nawet szukałem siebie na fotosach – śniegowy sprzedawca jak żywy stanął mi przed oczami, dając do zrozumienia, że byłem nie tylko świadkiem pewnego szalonego performance'u, ale jego przypadkowym, nieświadomym uczestnikiem.

I dałem się nabrać.

Sprzedawca śniegowych kul tak wbił mi się w pamięć, że wiele lat później napisałem nawet opowiadanie *Wieżowiec Chryslera*, w którym owa zakupiona śnieżna kula ma magiczne właściwości: „Jeśli rzucając ją, pomyślisz życzenie, na pewno się spełni”. Bohaterka pomyślała, że chce spotkać swojego anioła. I spotkała.



Jak to się skończyło – zapraszam do lektury opowiadania.

Anioły w Ameryce – jak się okazało – stoją czasem na rogu Cooper Union i Astor Place i walczą o prawa sztuki.

Sprawdziłem tego Davida Hammonsa.

Jak na takiego „sprzedawcę kul śnieżnych” ma całkiem niezły życiorys. Mój rówieśnik, urodzony w Springfield w stanie Illinois, w afroamerykańskiej biednej rodzinie. Sztukę performance'u rozpoczął już jako dziewiętnastolatek w LA, gdzie kształcił się na nocnych zajęciach w tamtejszych szkołach artystycznych. W 1974 roku przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie tworzył i rozpoczął swoje performatywne akcje, stając się jednym z najbardziej uznanych artystów tej dziedziny sztuki. Rzadko pokazywał się publicznie i rzadko mówił o sobie, stąd niezauważony mógł bez trudu wtapiać się w nowojorski tłum. Nie jest to takie trudne, bo choć żyjemy w dobie Internetu, nikt nadal nie wie, kim naprawdę jest i jak wygląda streetartowy brytyjski artysta Banksy. Sam Hammons powiedział zresztą:

**„Bycie niewidzialnym
ma większą moc niż bycie widocznym,
bo plotki żyją bardzo długo”.**

Nie dorobił się charakterystycznego stylu wizualnego, wiele jego dzieł nawiązuje do minimalizmu i postminimalizmu, ale zawierają zwykle duchampowskie odniesienie do miejsca czarnych w społeczeństwie. Jego przełomowe dzieło *African-American Flag* z roku 1990 przedstawia amerykańską flagę w kolorach panafrkańskich: czarnym, czerwonym i zielonym, i znajduje się dziś w stałej kolekcji Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku. Kopię flagi wywieszono przy wejściu do Muzeum Studio w Harlemie. Jak się okazuje „Bliz-aard Ball Sale” nie był pierwszym ulicznym performance'em Hammonsa. Pewnej nocy roku 1981 oddał mocz na monumentalną rzeźbę Richarda Serry – tego artysty szczególnie nie polubił – przy Federal Plaza, z innej rzeźby biednego Serry ukradł jakiś element w kształcie grzmotu, potem przerzucił przez nią buty. I podobno trzy lata po ulicznej wyprzedaży kul śnieżnych wystawił „zachowaną” śnieżkę w galerii Just Above Midtown.

W 2017 roku kurator sztuki Elena Filipovic fenomenowi „Bliz-aard Ball Sale” poświęciła całą książkę. Na światło dzienne wyciągnęła robione z ukrycia zdjęcia, stworzyła esej na temat tej na pierwszy rzut oka absurdalnej akcji, nadając jej sens, który wymaga filozoficznego podejścia do białego śniegu w rękach czarnego człowieka i do... „nieuchwytnego, pozagrobowego życia śnieżek”.

I tak oto, teraz myśląc o tamtym lutowym dniu roku 1983, żałuję, że nie wróciłem i nie ku-

piłem owej śnieżki. Nie przechowałem w zamrażarce, wierząc, że mimo efemeryczności pozostanie ze mną na zawsze.

I wcale nie pomyślałem, że mógłbym teraz wzbogacić się, sprzedając tę śnieżną „istotę”. Myślę raczej o metafizyce sztuki, jej misji i tej podwójnej świadomości, którą trzeba mieć w sobie, by zrozumieć.

A wszystko przez śnieg...

PS David Hammons do dziś działa na rzecz czarnoskórych artystów, skupując ich prace i pomagając im zdobyć uznanie.